

PRZECIEŻ
CIĘ ZNAM

Agnieszka Gil *Herbata z jaśminem*

Anna Łacina *Kradzione róże*

Anna Łacina *Miłość pod Psią Gwiazdą*

Beata Ostrowicka *Przecież cię znam*

W przygotowaniu:

Agata Mańczyk *Rupieciarnia na końcu świata*

Izabela Sowa *Agrafka*

BEATA OSTROWICKA

PRZECIEŻ CIĘ ZNAM

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © copyright by Beata Ostrowicka 2014

Projekt layoutu okładki: *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*
Ilustracja na okładce: *Maciej Szymanowicz, www.maszynowicz.com*

ROZDZIAŁ 1

- Oj, mammo... – jęczę do telefonu.
 - Wie, że przyjdiesz?
 - No wie, wie. Dzwoniłam do niego rano.
 - Z Irkiem nigdy nic nie wiadomo. – Mama wypuszcza strzałę. – Posłuchaj mnie. Powiedz mu, żeby cię potem odwiózł. Nie wracaj sama.
 - Mammo!
 - W razie czego masz na taksówkę? – mówi szybko.
 - Przecież nie jestem dzieckiem.
 - Laura, nie denerwuj mnie! – podnosi głos.
 - Mammo, nie będę długo u niego siedzieć, idę potem na korki.
 - W sobotę?
 - Też pracujesz – przypominam. – Dyżur.
 - Ale masz pieniądze jakby co?
- Przemykam oczy. Normalnie bym już coś odparowała, niekoniecznie miło. Ale nie teraz. Przed moimi wyjazdami do ojca mama łapie regularną schizę. Cały miesiąc mogę przeżyć bez złotówki przy duszy, ale gdy się do niego wybieram, muszę mieć tyle, żeby ewentualnie wracać taksówką, telefon naładowany na maksa i minimum dyche na karcie.
- Luzik, luzik. Mam kasę.

- Co ty w ogóle robisz?
- Łazimy z Szarą po galerii.
- Z Anią – poprawia mnie jak zawsze. – Nie mogę zrozumieć, czemu ciągle tak ją nazywaasz.
- A jak mam inaczej nazywać, skoro nazywa się Szarowska. – Widzę, że Szara strzyże uchem, reagując bezwiednie na swoje nazwisko.
- Ciekawe, czemu ona nie mówi do ciebie Piwo. Od Piwowarczycy.
- Wiem, jak się nazywam. – Zgrzytam zębami. – Ale o tym będziemy rozmawiać? Milionowy raz?
- Zadzwoń, jak już będziesz u Irka, dobrze?
- Esemesa wysłę.
- Tylko nie zapomnij. Muszę iść. – Chwilka na telefon do mnie wyraźnie się kończy, między jakimś złamaniem, gorączką czy fasolką wepchniętą do nosa. – Pa. Pozdrów Anię.
- Mama cię pozdrawia – mówię do Szarej, która utknęła przy regale z kolorowymi pudłami.
- Dzięki. Co tam?
- Słyszałaś. Jezu – wzdycham. – Ja odchodzę te wizyty. Wiesz co?
- No? – Szara patrzy na mnie z uśmiechem. – Co wymyśliłaś?
- Najwyższy czas zacząć zbierać kasę na wieloletnie wizyty u psychoterapeuty. Oczywiście w przyszłości. A może już powinnam chodzić do jakiegoś?
- Powinnaś się już przyzwyczaić – mówi miękko.
- Masz rację. – Kiwam głową. – Tylko mam wrażenie, że mama przeżywa je coraz bardziej. Gdy byłam mała, ustalała z ojcem, o której mnie odbiera i przywozi. Pakowałam ple-

cak i jechałam. A teraz to... jakbym w kosmos leciała. Nie wiem... Muszę to przemyśleć. Dobra, które pudło bierzesz? – zmieniam temat.

– To. – Szara wskazuje na okrągłe, w kolorze spranej myszy. – Tylko nie wiem jak duże. To średnie? Czy największe?

– Nawet nie patrz na nie. To chyba jakaś urna na prochy. – Wspinam się na palce i ze stosika biorę trzy. Okrągłe. Małe, większe i największe. Każde w odjazdowe czarno-czerwone esy-floresy. Dają po oczach. To na bank. – Osiem dziewięćdziesiąt, trzynaście dziewięćdziesiąt i dziewiętnaście dziewięćdziesiąt – odczytuję ceny przyklejone do spodów. – I co? Może być?

– Cena nawet w porządku. Ale to jest takie... – Szara ogląda największe – ...agresywne.

Pudło ląduje z powrotem na regale. Cała Szara. W szarościach, grafitach, czerni, w ciuchach nierzucających się w oczy. Najchętniej w czapce niewidce. Cicha, spokojna aż do bólu. Jakby przepraszała, że żyje. Oczytana, inteligentna, ale niepotrafiąca tego sprzedać.

– Szare jest smutne – mruczę.

Chcę jeszcze dodać, że te kolorki, które proponuję, fajnie będą wyglądać w jej pokoju, gdy wtem jakiś babus przepycha się między nami i łapie za esofloresowe. Bez żadnego „przepraszam”.

– Oglądamy te pudełka – mówię zdecydowanie. I uprzejmie. Jeszcze.

– Gdybyście oglądały, tobyście nie odkładały. – Kobieta ma refleks. Wygląda dokładnie jak z „demotów”.

– Po prostu się zastanawiamy. – Zabieram jej pudełka.

Baba sapie z oburzenia.

- Bierzysz? – pytam spokojnie Szarowską.
- Tak. Tak... Ale nie to. Popielate – odpowiada cicho.
- Wiem, że nie lubi takich sytuacji. Jakby to była jej wina.
- Albo kupimy kiedy indziej – dodaje szeptem.
- I po co ta cała awantura?! – Babus podnosi głos i dodaje rozkazująco. – Pudełko.
- Proszę. – Podaję jej jedną z szarych urn, tę najmniejszą. Największą dostaje Szarowska. Skoro chce, to niech bierze. Nie będę jej uszczęśliwiać na siłę. Biorę trzy esofloresowe i szeroko uśmiecham się do babusa, który wyraźnie się zapowietrza.
- Nie to, tamte. Mnie chodzi o te kolorowe! – Kobieta podnosi głos.
- Kolorowe my bierzemy.
- Mogę w czymś pomóc? – Obok nas staje chłopak z obsługi. Chudziutki jak przecinek, w czarnej koszulce z logo sklepu. – Jakiś problem?
- Pani nie może się zdecydować. Już idziemy zapłacić. – Popycham Szarą w stronę kasy. Jest bardziej blada niż zwykle.
- Luzik, luzik – mrużę do niej. – Nic się nie dzieje.
- Po co ci te pudła? – pyta szeptem. Na szczęście przestaje już być tak upiornie blada.
- Na to samo, na co tobie ta mysza. Na szpargały. Jedno dam mamie. Ostatnio się żaliła, że nie ma w czym trzymać kosmetyków – odpowiadam pogodnie. Humor mi się trochę psuje, gdy przychodzi do płacenia. Esy-floresy mocno nadzarpują mój budżet. – Nawet dobrze, że dziś mam to spotkanie z ojcem. Kasa mile widziana.
- A ty nie musisz już się zbierać? – Szara wyraźnie wraca do formy. Właśnie wychodzimy z galerii.

– Muszę – wzdyham. – Już są korki, pewnie się spóźnię. Wysłucham, jaka to jestem nieodpowiedzialna i niepunktualna.

– A nie możesz po prostu powiedzieć, że się ze mną zagadałaś?

Uśmiecham się krzywo. Przy ojcu asertywność mi nie wychodzi. Zwija się w kłębek i podkula ogon.

Po tych wizytach długo odchorowuję swoją niemoc. Nikomu nie mogę tego powiedzieć. Nawet swojej najlepszej przyjaciółce.

Wstydzę się. Po prostu.

Nie cierpię mieszkania ojca. Bezpłciowego, wyglądającego jak z katalogu Ikea. Nie cierpię tej jego pani Krystyny. Zimnej ryby. Wyrachowanej. Z wielkimi cyckami i jeszcze większym tyłkiem. Konkubiny. W sumie z najdłuższym stażem. Ile już są razem? Z pięć lat. Poznali się na sanatoryjnym wyjeździe ojca do Buska-Zdroju. Tak przynajmniej zeznaje ona. Dla mnie mogli się poznać i w prosektorium. Ojciec wielokrotnie takim tkliwym głosem powtarza, że Kryssa to jego druga połówka. Bratnia dusza. Banały do kwadratu. Ilekroć je słyszę, powstrzymuję odruch wymiotny, z kolei Kryssa omdlewa z wielkiej miłości.

Wcześniej były inne połówki: Izabella „przez dwa el”, anorektyczka Janeczka, mignęła długonoga Andżela głupia jak but, potem Mariola ze swoim hoplem na punkcie zdrowego odżywiania, bawełnianej bielizny i coparomiesięcznych wizyt u pani Stefy, tarocistki. Jedna była fajna, tak naprawdę. Jola. Już ją zaczynałam szczerze lubić, gdy nabrała rozumu i zosta-

wiła ojca. Podejrzewam, że cycata Krystyna nie zamknie listy jego towarzyszek życia.

– No, jesteś – wita mnie, otwierając drzwi. Jak zawsze przesadnie wymalowana. Taki styl, typu disco. Ciekawe, czy do łóżka też tak się pacykuje. Już widzę te jej koszulki nocne, zdobne cyrkoniami i przesywane złotą nitką.

– Dzień dobry – odpowiadam spokojnie.

– Spóźniłaś się. – Nawet nie markuje uśmiechu.

Ona też mnie nie lubi. Przynajmniej sytuacja jest jasna dla nas obu.

– Co tam masz? – Kryssa wskazuje na papierową torbę z pudłami.

– Kapustę na gołąbki – rzucam bez zastanowienia. – Promocja była w Biedronce. Ojciec jest?

– Ależ oczywiście. – Przyciska się do ściany, żeby mnie przepuścić, ale cycki skutecznie zawadzają. Robię ruch, jakbym chciała przykucnąć. Rozumie w mig i wycofuje się na korytarz. – Wejdz, lala, wejdz.

Skąd ona, kurwa, tę „lale” bierze? Kłuje mnie nią co jakiś czas, wiedząc doskonale, że tego nie cierpię. Wiele razy przecież jej o tym mówiłam. Okej, sama się prosiła.

– Dziękuję.

Z mojej strony wersal jak się patrzy. Szara może być ze mnie dumna.

– Dobrze pani wygląda. Mniej zmarszczek. Jakiś nowy krem? A, już wiem. Utyła pani. – Wyszczerszam zęby w uśmiechu. – Ze dwa numery, co?

Zagryza wargi. Jest wściekła na maksa. Nie ja zaczęłam.

– Laura przyszła! – krzyczy w głąb mieszkania. Grunt, że już myśli o powrocie. – Iruś?! Nie słyszysz? Iruś?!

Iruś. Jakby psa wołała. Ale skoro jemu to nie przeszkadza...

– Idź do salonu, ja muszę do kuchni.

Grafitowy przedpokój, bordowa lampa. Ciemne szafki. Wszystko równiutko poukładane. W kuchni i dwóch pokojach też tak równiutko i zimnorybio. W stonowanych kolorach. Zero emocji, zero życia. Nawet kwiatki wyglądają tak, jakby im przycinała liście pod linijkę.

Skrzypi podłoga. Z sypialni wychodzi ojciec. Iruś. Wysoki, przygarbiony. Z siwizną na skroniach. Noszę jego nazwisko. Jego matka była moją ukochaną babcią. Umarła pięć lat temu. Mam połowę jego genów, jego wielkie brwi, które muszę ostro depilować, i lekko śniady odcień skóry, dzięki czemu mogę szerokim łukiem omijać solaria. Jego grupę krwi. I zero ciepłych uczuć dla niego.

Marta jest tak samo piękna jak tępa, leniwa i sprytna. Wrózę jej świetlaną przyszłość.

– Co robiliście na ostatniej lekcji? – pytam jak zawsze cierpliwie. Z delikatnym uśmiechem. I mam nadzieję, że w ten sposób skutecznie skrywam chęć, by na nią wrzasnąć i wykrzyczeć, że koniec z lenistwem. Ma się brać do nauki.

– Nie zapisałam, ale zadzwonię do Julki, ona wie. – Dziewczynka odchyła się na krześle i przeciąga. Ma na sobie zielony top, szarą bluzę i czarne legginsy. I zrobione oczy.

Jeśli Julka nie wie albo jej nie ma pod telefonem, wtedy dzwoni do Pati.

Taki nasz rytuał. Poniedziałek, środa, piątek. Dziś jestem tu wyjątkowo. Trzy razy w tygodniu przychodzę pomagać jej w lekcjach, trzy razy telefonuje do koleżanek, które cierpliwie

przypominają, co było zadane. Julka i Pati wyraźnie pretendują do bycia świętymi za życia. Potem odrabiamy prace domowe, uzupełniamy, podkreślamy, poprawiamy. Zerkamy do podręczników, żeby Marta mniej więcej wiedziała, co może być na kolejnych lekcjach, żeby nic jej nie zaskoczyło. Bo to delikatne i wrażliwe dziecko. Po mniej więcej półtorej godzinie korków dostaję od pani Zofii, mamy Marty, trzydzieści pięć zeta oraz opowieść o tym, raz dłuższą, raz krótszą, jak to nauczyciele uwzięli się na jej córeczkę.

– Poradzisz sobie już sama? – Wskazuję na zeszyt do matematyki. Zostało jedno prościutkie zadanie. I tak już jestem pół godziny dłużej niż zawsze. Przez niemiecki. Marta ma na niego ewidentną alergię. Mogłabym jeszcze zostać, patrzeć, jak się mozoli nad rozwiązaniem, ale na swój sposób staram się nie przyczyniać do robienia z niej ciamajdę życiowej.

– Szesnaście be?

– Siedemnaście ce – odpowiadam.

Pochyla się nad podręcznikiem. Czarne włosy falą spływają z pleców.

– A pewnie, jasne. – Marta uśmiecha się promiennie. – Pewnie.

No. Sukces. Mogła odmówić, wyśmiać, powiedzieć, że nie i już.

– Super. Cieszę się – mówię szczerze.

Czarnowłosa głowa znowu się pochyła. Potem zagląda do zeszytu.

– Siedemnaście ce. Ono jest dodatkowe.

– I co z tego? – pytam słabym głosem.

Marta patrzy na mnie z politowaniem. Czarne długie rzęsy. Gęste i wywinięte. Niebieskie oczy. Pobłażliwy uśmieszek.

– To znaczy, że nie muszę robić – wyjaśnia.
– Ale możesz. Lepsza ocena, te rzeczy...
– Ale nie chcę – powtarza i nawija na wskazujący palec kosmyk włosów.

– Twoja sprawa – poddaję się. Nie zamierzam jej przekonywać. – Nie to nie.

Wstaję i wychodzę na korytarz. A tam, między komódką a wieszakiem, zawsze zawalonym kurtkami i płaszczami, na wprost wysokiego lustra, tkwi druga latorośl rodziny Walczaków. Dwudziestoletnia Halszka. Imię po babci. Wysoka, ciemne proste włosy do pasa. Czarne ciuchy, mocny makijaż. Monstrualnie wysokie szpile.

– Hejka – mówi pogodnie. Wilgotnym palcem poprawia brwi.

– Hejka.

– Co tam? – Nawet na moment nie odwraca się od lustra.

– A w porządku. A u ciebie?

– Też okej.

Tylko pozazdrościć samopoczucia. Siedzi w domu od połowy drugiej klasy liceum, bo szkoła jej się znudziła, o podejściu do matury nawet nie myślała. Przez jakiś czas chodziła do wieczorówki, ale też ją to znudziło. Tak mniej więcej po trzech tygodniach. Nie nudzi jej tylko Wolfgang. Pojechała w pierwszej klasie ze znajomymi na Woodstock, tam go poznała i do Krakowa wrócili już razem. Częściej mieszka u niego niż we własnym domu. Obie matki akceptują ten stan, choć pani Zofia czasami ma z tym problem.

– Laura? Już koniec? – Z pokoju wychodzi pani Zofia. Czarnowłosa, drobniotka, elegancka. Ma słabość do wielkich naszyjników i szerokich bransolet. – I jak?

- Normalnie. To znaczy w porządku – dodaje szybko.
- Bardzo się cieszę... A Marta? Uważała, słuchała? A ty? – syczy pani Zofia do starszej córki. – Łazienka czeka. Miałaś posprzątać. Od wczoraj ci o tym przypominam. Wannę umyj porządnie, nie jak ostatnio... Potem zrób pranie czarnych rzeczy.
- Nie mam czasu – odpowiada Halszka wciąż zwrócona twarzą do lustra. – Zresztą zaraz wychodzę.
- Dokąd?
- Do Wolfiego. Nie wiem, kiedy wrócę. – Czyli może być niedziela, czwartek albo marzec przyszłego roku.
- A Jęgo matka? Nie przeszkadza jej, że tam nocujesz? – Przesłuchanie nadal trwa. Ile razy już słyszałam to pytanie?
- Ona jest fajna i nie czepia się głupot.
- Panią Zofię zatyka. Ale nie na długo.
- To znaczy, że ja się czepiam? – Pani Walczak podnosi głos.
- Ja nic nie mówię. – Halszka wzrusza ramionami.
- No, czy one muszą się klócić przy mnie? Nie mogły poczekać pięć minut? Poszłabym i mogłyby spokojnie brać się za łby. A tak, co mam zrobić? Udawać, że nic nie widzę i nie słyszę? A może pójść do łazienki i posprzątać? Wannę myję bardzo dokładnie. Mam w tym wprawę. No i jeszcze zrobię pranie.
- Kiedy wrócisz?
- Mówiłam. Nie wiem. – Halszka odkleja się od lustra i znika w swoim pokoju.
- To ja już pójść – mówię szybko.
- Oczywiście... Muszę pomyśleć o gimnazjum dla mojej Martusi – wzdycha pani Zofia.
- Ma pani coś upatrzonego?
- Na pewno jakieś prywatne. Żeby jej nie gnębili, żeby mogła pokazać, na co ją stać.

Na lenistwo. I bumelanctwo. Nie moje dziecko, nie moje zmartwienia. Nie moje klapki na oczach. Zaraz, zaraz. Prywatne gimnazjum? Przecież tam płaci się czesne. A tu co wityta, co dawanie mi kasy, słyszę, jak to pani Zofia nie ma pieniędzy. Na szczęście już się uodporniłam na takie teksty.

– Muszę już iść. – Kładę rękę na klamce. – Do widzenia. Będę pojutrze.

– O właśnie, jeszcze jedna sprawa...

– Tak? – Sztywnięję. Marta poskarżyła, że cisnę? Gnębię i uwzięłam się na nią?

– Zastanów się, Laurusiu. Rozmawiałam z Jureczkiem... – Czyli mężem. Ona zdrabnia imiona. Z wyjątkiem imienia starszej córki. – I tak się zastanawiałam, a Jureczek się ze mną zgodził. – Wcale mnie to nie dziwi, bo to typ klasycznego pantoflarza. – Może przychodziłabyś do Martusi codziennie. Ma coraz więcej lekcji, nie poradzi sobie bez twojej pomocy.

A to niespodzianka. Super. Kasa zawsze mile widziana.

– Oczywiście – rozpromieniam się.

– Cieszę się. Godziny ustalimy, dobrze?

– Oczywiście – powtarzam.

– To nie zatrzymuję, do widzenia. – Posyła mi szeroki uśmiech.

Ledwo zamykają się za mną drzwi, słyszę:

– Halszka! Łazienkę sprzątnij!

Z kamienicy dosłownie wyfruwam. Teraz do Szarej. Choć na chwilę. Na rozładowanie stresów, napięć, chwilę spokoju. Na pyszną herbatę, jaką kupuje jej mama.

Mimo późnej pory jest na Fejsie. Wysyłam mu uśmiechniętą buźkę i piszę:

U mnie okej.

Zna mnie na tyle długo i dobrze, że reaguje natychmiast. Moja komórka się rozdzwania, a na wyświetlaczu pojawia się „Błądej”.

– Nadal masz darmowe minuty? – pytam.

– Promocję.

– Tak? Do ludzi z deprechą?

– Telefony za darmo do przyjaciół w potrzebie. Mów.

– Byłam dziś u ojca – wzdycham. – Potem u Marty. Było masakryczniej niż ostatnio – znowu wzdycham.

– U Marty?

– Nie, o starym mówię... To znaczy lepiej. Dał mi dwie stowy.

– To w czym było masakryczniej?

– Jestem poza jego życiem, poza jego zainteresowaniami...

– Ale to już wiesz od dawna – zauważa spokojnie. – I ile razy rozmawiamy o twoim ojcu, przekonujesz mnie, że masz w dupie to, co on o tobie myśli.

– Niby tak... – Wzruszam ramionami.

– A ja ci zawsze powtarzam, że sama się oszukujesz.

– Ty też się oszukujesz – rzucam szybko. – Nawet bardziej niż ja. Przypomnieć, co ci powtarzam?

– Nie – odpowiada spokojnie.

– Bo?

– Bo teraz rozmawiamy o tobie. Ty do mnie zadzwoniłaś.

– Okej, tylko naoliw zawiasy, kup kulki przeciwmolowe, rozwieś gałązki lawendy.

– Bardzo śmieszne. Skończyłaś?

– Chyba tak...
– Dawaj – mówi miękko.
– Dziś mnie to jakoś szczególnie obeszło – wzdygam.
– Pogubiłem się. Choć próbuję nadążyć za tobą. Co?
– To, że mój osobisty ojciec ma mnie w dupie! – podnoszę głos.

– Konkretniej.

– Tradycyjnie pyta, co w szkole, ja tradycyjnie, że okej, i opowiadam pierdoły. Nic, do czego mógłby się przyczepić, żeby potem nie dzwonił do mamy z pretensjami. I on słucha, słucha i... zasypia.

Błazej przeciągle gwizdże.

– Twój stary to potrafi zaskoczyć.

– Spadówa – burczę. Chętnie bym pomilczała, z nim po drugiej stronie telefonu, ale nie chcę mu nabijać rachunku. – U ciebie okej? – pytam, znając odpowiedź.

– Okej. Jak zawsze.

Szacun.

Optymizmu i spokoju można mu tylko zazdrościć.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Ecco Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.

ANTALIS Polska

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Redakcja *Ewa Ressel*

Korekta *Ewa Mościcka, Monika Hałucha, Magdalena Szroeder*

Redaktor techniczny, DTP *Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-12597-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań